

Pogawędka niedzielna

Pochwała wsi i próżniactwa

Tyle już napisano słusznym i niesłusznym komplementów pod adresem Pracy i pracowitości, że czas najwyższy ująć się za honorem postępowanego przeważnie próżniactwa. Oczywiście, tego twórcę próżniactwa, a nie gnuśnego lenistwa, które każe ludziom rozwalac się po kanapach, ty i spać po czterech godzinach na dobę. Gnuśności nikt nie pochwali, lecz próżniactwu należy oddać corychlej sprawiedliwość. Przecież to ono, poparte w razie potrzeby pracą, stworzyło naszą cywilizację, bo ono jest matką wynalazków i ulepszeń.

Przypuszczam, że w praprawiekach, kiedy stada ludzkie włościły się jeszcze od jaskini do jaskini w stanie zupełnej dzikości, pierwszy spór o próżniactwo miał następujący mniej więcej przebieg:

Kosmaty, długoreki i niskoczoły papa i takaż kosmata mama mieli kosmatego synka dragała. Obrabowi minęło już lat dwadzieścia, ale mało polował i mało wylazł z jaskini samotny i co tam kał kulował w swojej kosmatej lepietynie, strugając pierwotnymi narzędziami kawały drzewa. Czasem wydawał ryki zadowolenia, szczerząc swoje wielkie pierwotne zęby i waląc się przydługimi pierwotnymi rękami w pierwotne uda.

— Ty próżniaku! — złościła się pierwotna mama — Możebyś tak skończył z tą głupią zabawą, a poszedł postraszyć jaskiniowego niedźwiedzia, który sieje takie spustoszenia w moim plemieniu. Mieszka w sąsiedniej jaskini.

A pierwotny synalek kiwał swą kosmatą głową, aż mu grzywa spała na pierwotne oczy i coś pomrukiwał. Wreszcie, za trzydziestą, czy czterdziestą awanturą, ten pierwszy prawdziwy próżniak ludzki mruknął przez zaciśnięte zębska:

— Dobrze! Już ja go postraszę.

Wylazł przed jaskinię i coś jeszcze podkubał przy drzewie, nabijając grubszą jego koniec ostrymi kamieniami. A gdy pierwotne słońce zaczęło się przybliżać do pierwotnej ziemi — ruszył przez olbrzymi bór, ku jaskini niedźwiedzia. Zaczął się przycupnąć, szły za wielką skalą tuż nad wyłotem groty, i czekał. Po chwili rozległ się charakterystyczny pomruk i wielkie cielsko niedźwiedzia ukazało się przed jaskinią. Miś rozglądał się małemi ciemnymi ślepkami, wtopionymi w trójkąty głowy i węszył. Sygnale wysunął ostrożnie kosmaty łeb zza skały i podniósł wielką pałę do góry. A, kiedy miś wdrapał się wyżej, zakręcił maczugą i cisnął ją z wielkim rozmachem z niedźwiedzia, podbijając mu oko.

Niedźwiedź ryknął... Oślepiiony i krwawiący siadł na szerokim zadzie o krótkim ogonie i czochając

łapą swą niedźwiedzią głowę krzyczał do małżonki:

— U-u. U-u!...

W tym momencie dostrzegł ponad skalą głowę pierwotnego człowieka, szczerzącą w uśmiechu pierwotne wielkie zęby.

— A łajdak! — wył niedźwiedź swym dialektem. — Łotr i tchórz!... Nie chciało się próżniakowi podejść do mnie z gołymi łapami, więc cisnął zdaleka kłusującą zębem... Bał się podejść! U-u, u-u, tchóóóóó!...

Pani małżonka wylazła z jaskini ratować męża, ale zaledwie jej czarny nos wysunął się na krok od wyjścia, spadł jej na łeb olbrzymia lekka sukienka piękna niewiasta. Z przyzwyczajenia lub wprost dla przyzwoitości robisz do niej oko... Ledwie cię minął dreszczyk wrażeń, alic pojeździć pędzi przesłizne auto. Myśl śmiga zaraz za nim, starając się odgadnąć markę i cenę. W głowie powstają dziwaczne projekty i wizje. Dumas sobie: „Jakby to było przyjemnie jechać takim samochodem z taką niewiastą. Projekt wydaje się tak wspaniałym, że ciągniesz z kieszonki ostatnie dziesięć złotych i „szukając szczęścia, wstępujesz na chwilę”. Oczywiście do kolektury. Wyszleś i masz zamiar przejść na drugą stronę ulicy, więc patrzysz podejrzliwie, który tramwaj ma chytry zamiar zmiażdżenia cię doczepnie... I tak w kółko. Nie, stanowczo miasto nie wpływa dobrze na spokojny, próżniaczy bieg myśli...

Co innego wieś!

Ponieważ wielu mieszcuchów wybiera się w tych dniach na letnisko, albo nawet już tam przebywa — wzywam ich do próżniactwa! Niekoniecznie zaraz muszą z tego powstać nowe wynalazki, albo całe systemy filozoficzne. Broń Boże! Należy się oddawać próżniactwu choćby dlatego, żeby wypoczęły rozklekotane nerwy.

Na wsi to tak łatwo. Ot, połóż się człowiek, gdzie w cieniu, i zasłucha w szum topól, brzoź, jesionów. Muchy brzęczą, drażniąc niewymownie zlaknionego świeżych witaminek pajaki, a komary dźwięczą przeciągle, niby dotknięte leciutko struny skrzypiec. Wreszcie jeden z nich przysiadł po namyśle człowiekowi na nodze i przymierzysz raz i drugi trąbkę do skóry, poczynając łączyć krew, jak notorycznie alkoholik czerwone wino. Człowiek, zorientowawszy się, o co chodzi, albo się ciska w gwałtownym odruchu, albo bardzo sprytnie przysuwa dłoń nad komara i pać! — wali się po nodze. Komar — prawdziwy syn natury — gwizda na to dowcipnie zabieg. Podrywa się wcześniej i w chwili, gdy się szuka pod dłoń jego zwłok, brzęczy tuż nad karkiem.

Walka ta początkowo irytuje, ale potem zaczyna człek snuć daleko sięgające refleksje. Wyrobione w mieście poczucie, że jest centralną figurą świata, mija i rozwiata się jak dym, niby jeszcze jedno złudzenie młodości. Przecież taki komar — zdajemy sobie nagie sprawę — jest przekonany w swym komarzom mózgu, że człowiek, czyli według niego — taka łagodna góra ciepłego mięsa i krwi, istnieje tylko po to, aby dostarczać pokarmu zgłodniałym komarom. Z zasadniczego błędu myślowego mogłyby go wyprowadzić tylko te nieszczęsne komary, które legły pod razami ludzkich dłoń. Niestety, doświadczenia niebo szczyków mają to do siebie, że rzadko służą za przestroję żyjącym. Nie dziwiłby się więc wcale, gdyby przy spotkaniu komara z pchłą wynikała taka np. rozmowa:

— Ah, jak się masz, czarnobrewko podrygliwa! — woła komar.

— Wyśmienicie skrzydlaty bzykacz. Żeru mam dość, napoju również.

— A rzeczywiście! W tym roku wyjątkowo obrodziły się w naszych okolicach łagodne bryły brzozy i zabił na miejscu. Tego już niedźwiedziowi było za wiele. Mimo bólu dźwignął się na tylne łapy i ryknął wiekiele. Nim zdążył posunąć się kilka loków w górę, otrzymał trzy kłusujące ciocy. Jeden oślepiał go całkowicie, trafiając w pozostałe zdrowe oko, drugi rozpiaszczyl mu nos, trzeci nadwyręzył kość czołową. Niedźwiedź runął na ziemię, drąc pazurami trawę... A pierwotny synalek zaczął wykonywać dzikie skoki, klaszcząc w dłonie i waląc się z uciechy po kosmatej piersi pięściami, aż huczało. Ryk triumfu przeszył pierwotny bór i huczącym echem dotarł do uszu plemienia. Wszyscy wypadli przed jaskinię i pędzili do triumfatora. Ten zaś, wskazując wściekłymi gestami na trupy dwu niedźwiedzi, ryknął w dalszym ciągu.

Pierwotna mama, dostrzegłszy przy powalonych niedźwiedziach dziwaczne przedmioty, które tak długo strugał przy jaskini jej pierwotny syn — coś zrozumiała.

Przećcisnęła go do swego pierwotnego łona, a pierwotny papa na znak zadowolenia mruczał i drapał się po pierwotnych udach. Żadne z nich nie wymawiało teraz swej pociesze próżniactwa. A wynalazca pierwotnej maczugy przestępował z nogi na nogę i bełkotał bezustannie o swym doniosłym wynalazku.

Nie poprzestano jednak w praprawiekach na tem jednym udoskonaleniu. Inni pierwotni próżniacy dokonali dalszych wynalazków. A więc próżniak, któremu nie chciało się dźwigać wielkich cięż-

arów, wpadł na pomysł oswojenia konia — inny próżniak wymyślił podczas samotnych wędrówek dwukołowy wóz itd. itd.

W czasach historycznych próżniaczka myśl podarowała ludzkości moc prezentów. Zdarzyło mi się czytać w jakiejś książce — bodaj u Mardena: „Wola i powodzenie” — jak matka jakiegoś myślącego próżniaka lała go następującymi słowami:

— Nie rozumiem, jak można być takim leniuchem! Od rana nic nie robisz, tylko stoisz w kuchni i patrzysz, jak w czajniku prycha para, podrzucając pokrywę do góry!... Weźże się do jakiej pracy.

Próżniak nie posłuchał matki, a ludzkość ma mu do zawdzięczenia wyzyskanie pary w maszynach.

Ale próżniactwo nie tylko jest ojcem wynalazków. Ono wszepiło twórcom w godzinach samotności pomysły poetyckie, z niego powstały zapewne systemy filozoficzne. Kimże był Sokrates, jak nie próżniakiem — łazikiem i gadulą, włóczącym się po ulicach Aten...? Mile próżniactwo ma na myśli Cycero w znanym westchnieniu: „O, przyjaciele, z kimby się tu pośmiać mądrze?” Mickiewicz poświęca próżniaczęj samotności kilka przesłiznych wierszy w „Panu Tadeuszu”:

„Ja ileż wam winienem, o domowe [drzewa!]
Błahy strzelec, uchodząc sztyderstw [towarzysz]
Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej [ciszy]
Upolowałem dumań, gdy w dzikim [ostepie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem [na kępie...”

Próżnować twórczo można jedynie na wsi. W mieście cycha za wiele atrakcyj. Ot, idziesz sobie — zadumany przechodni — ulicą, aż tu naraz szeleści namięsa.

— Tak, tak!... Ale do roboty!... Bez pracy niema kołaczy”, jak to mówią.

— Masz rację!

I dwa mile stworzonka zabierają się do kłusania letników...

Ale dość pół — żartobliwych refleksyj. Ujmując rzecz serio, trzeba stwierdzić, że całą pełnię i bogactwo istnienia odczuwa się dopiero na wsi, patrząc na tę olbrzymią manifestację życia, jaką jest przyroda, na tę tragedię wiecznego stawania się i zamierania — zaczyna się świat ujmować głębiej i szerzej. Potęga wszechświata przeraża i onieśmiela... Aż zjawia się moment, gdy w obliczu rzeczy nieskończone nie wielkich i nieskończenie małych myśl wybiega do Stwórcy... I wówczas człowiek odmawia „pacierz potężnym milczeniem”, jak powiada Cyprjan Norwid.

Jan Waśniewski

Z teatrów

Dziewczeta i oni

(Z miłości niedostatecznie)

Komedja w 3-ach aktach (w sześciu obrazach)

Władysława Bus-Fekete

w Teatrze Polskim

Przyczyn rosnącej popularności Bus-Fekete nie trzeba szukać w jakiś specjalnych wartościach jego utworów. Jest to pisarz zupełnie przeciętny, tyle tylko, że obdarzony scenicznym sprytem, zdolnością, której bardzo często z pełnym powodzeniem udaje się pokryć artystyczne i intelektualne niedobory autora. Bus-Fekete dobrze orientuje się, co może publiczności przypaść do smaku, przyrządza swoje sztuki, jak cioci — trochę sentymentu, trochę groteski, kilka sytuacji dramatycznych, parę refleksyj i dużo bardzo dużo erotyzmu. Ponieważ ma wprawę w puszczaniu tych „mięszanek” na scenę, a rolę opracowuje w taki sposób, aby dawały aktorom pole do popisu — całość staje się atrakcyjną przynętą dla publiczności szukającej w teatrze wyłącznie rozrywkę.

Nowa komedia węgierskiego autora „Dziewczeta i oni” jest właśnie taką typową sztuką rozrywkową, a jej ukazanie się na deskach Teatru Polskiego usprawiedliwia zapewne w rozumieniu dyrekcji t. zw. sezon „ogórkowy”. Można się sprzeczać, czy słusne jest wystawienie w pełni lata, kiedy odwiedza Warszawa wiele wycieczek i turystów, takiego właśnie repertuaru, czy nie należałoby zerwać z mocno przestarzałą zasadą byle jakiego w sensie artystycznym latania okresu wakacyjnego, czy odwrotnie nie należałoby wprowadzić dobrych utworów polskich i tak postawić teatr, aby stał się atrakcją dla przyjeźdźców, ale ponieważ szła tradycja bardzo głęboko w tym wypadku zapuściła korzenie, więc poruszając sprawy równa się walce z wiatrakami. I tak: w zeszłym roku w tym samym mniej więcej okresie mieliśmy szczęście oglądać „Urodziny” Bus-Fekete, teraz mamy „Dziewczeta i oni”, na przyszły rok zobaczymy znowu Bus-Fekete, a za dwa lata prawdopodobnie taksamo...

Treść tych „Dziewcząt” mogłaby z powodzeniem posłużyć za watek do światowej nowelki. Do jednego pokoju w nowoczesnym domu wprowadzają się trzy młode dziewczeta, z których każda posiada pewien ideał życia. Jasia, modelka, jest najładniejsza i ma największe ambicje — pragnie znaleźć bogatego przyjaciela, otrzymać piękne mieszkanie, dużo klejnotów i książeczkę z ceków; Fritzi, girla z operetki, tęskni za sklepem z kapelusami, niezależnością i bezinteresowną miłością; wresz-

cie Ania, brzydka panienka bez określonego fachu, ale za to z matką, chciałaby wyjść za mąż i zajmować się gospodarstwem. Marzenia wszystkich dziewcząt spełniają się. Ale żadna nie jest szczęśliwa, bo osiągnięcia te okupili zawodami miłosnymi. Mają, co chciały, ale egzystencja z miłości „niedostateczna”. Jasia zraziła swego kochanka trzeźwością i interesownością, której nie umiała podporządkować uczuciu, ukochany Fritzi, młody baron, ożenił się z panną ze swojej sfery, a Ania zradziła się najniecorzeczniej w aktorze operetkowym, głupim kabotynie, który jej nieśmiało miłość brutalnie wykipl.

Postacie komedjowe są umiejętnie zarysowane, choć potraktowane bardzo banalnie. Dialogi robiono są zresztą i naturalnie, przydałyby się jednak, pewne skróty (zwłaszcza w odsłonie piątej), co przeoczył reżyser Karol Borowski. Jest to zresztą jedyny błąd jego pracy, całość bowiem podał Borowski lekko i w dobrym tempie.

Największym plusem przedstawienia jest doskonałe wykonanie i przypuszczam, że ono stanie się magnesem przyciągającym publiczność.

Dziewczętami były panie: Janina Piaskowska, Maria Zabczyńska i Alina Żeliska. Piaskowska, której talent tak świetnie zabłysnął w „Orfeuszu” granym w warsztacie teatralnym, pokazała w roli Jany, że czuje się równie dobrze w dramacie, jak i w lekkiej komedji. To jest — naprawdę doskonała artystka. Podbija bardzo szczęśliwymi warunkami zewnętrznymi, umiejętną modulacją głosu, bezpośredniością i swobodą. Dobrze również rozwija się talent żeliskiej, szczęśliwie łączący wycucia humoru z dziecięcą świeżością. Bez zarzutu zagrała ślamarną Anię, Zabczyńska.

Z panów wysunął się na czoło Józef Węgrzyn, kapitalny w roli głupiego i zarozumiałego aktora operetki. Groteska w najlepszym stylu, podana z nieomylnym instynktem humoru. Franciszek Brodniewicz, Leon Łuszczewski i bardzo dobry w epizodycznej roli Jerzy Woskowski wnieśli do całości właściwy ton.

Ładne dekoracje wnętrza projektował Śliwiński, przekład Ireny Koralowej.

Jerzy Andrzejewski.

Budowa kolejki linowej na Huculszczyźnie

Z Podola i Huculszczyzny informują, że w roku bieżącym rekordowa ilość osób z całego kraju poszukuje na tamtejszych terenach wypoczynku letniego. Wiele osób prywatnych i instytucji społecznych przystąpiło do nabywania większych i mniejszych obiektów w górskich miejscowościach letniskowych, na przyszłość widząc w tem korzystną lokatę kapitałów.

Powiatowe związki samorządowe na terenie województwa stan sławowskiego wystąpiły z inicjatywą budowy tanich hoteli i schronisk w miejscowościach popularnych i zareklamowanych.

Czynnik turystyczne opracowały projekt całego szeregu inwestycji, które miałyby być wykonane w ciągu 10 lat głównie na terenie Huculszczyzny.

W wysokogórskiej części województwa stanisławowskiego planowana jest budowa kolejki linowej, która by stanowila na powyższym terenie atrakcję sportową i turystyczną dla całej Polski.

Czy zaprenumerowales już

ABC Nowiny Codzienne?

T. Dołęga-Mostowicz

Czego Polakom brak?

Jedno z angielskich pism zamknęło niedawno ankietę na temat: „Co jest gwarancją szczęścia w małżeństwie?”. Odpowiedzi były nader liczne i wielce rozmaite. Nie znalazłem jednak wśród nich takiej, pod którą mógłbym się podpisać. Może dlatego, że mimo woli myślałem nie o małżeństwie wogóle, lecz o małżeństwie polskim, a to o tyle zapewne różni się od stadoł innych narodowości, o ile różne są cechy właściwe Polaków i Polek od cech, powiedzmy, Anglików i Angielek.

Otóż najczęstszym przymiotnikiem, spotykanym przez nas codziennie przy słowie „małżeństwo”, jest przymiotnik „nieszczęśliwe”. Objaw najczymniej zastanawiający dla każdego, kto zadął sobie odrobienie trudu przyjrzenia się tym sprawom wśród swoich i wśród obcych, by stwierdzić, że u innych narodów procent szczęśliwych małżeństw bynajmniej nie jest większy, niż u nas. Jest tylko jedna poważna różnica: tam się ukrywa doznany w małżeństwie zawód, w Polsce natomiast

mówi się o nim głośno, biada się, narzeka, apeluje się do współczucia słuchacza, obnosi się swoje nieszczęście publicznie. Państwo Pitulińscy, doszedłszy do przekonania, że w tym stanie rzeczy, żebranie niania, że popełnili błąd łącząc swoje losy, uważają za jedyną radę wśród bliższych i dalszych znajomych o politowanie. Wkrótce też dzięki pani Pitulińskiej wszyscy wiedzą o wadach i przywarach jej męża, dzięki zaś biadoleniu tegoż o ujemnych cechach pani Pitulińskiej, wszyscy wiedzą, że małżeństwo państwa Pitulskich jest nieszczęśliwe. Wiedzą, a zapomnieli im o tem nie dadzą sami państwo Pitulińscy, bo powtarzają to będą aż do samej śmierci, powtarzając zaś będą dlatego, że jest to ich jedyny sposób reagowania na niepowodzenie. Nie znają innego. Ograniczają się do postawy biernoj, a nie umieją zdobyć się na taką dozę poczucia przyzwoitości, by nie nudzić bliźnich swoimi intymnymi sprawami. Obojgu bowiem brakuje dwóch rzeczy, dwóch cnot: charakteru i

taktu.

I oto właśnie jest moja odpowiedź na wspomnianą ankietę, gdyby taka została rozpisana w Polsce. Takt i charakter małżonków dają gwarancję jeżeli nie samego szczęścia, to przynajmniej jakiegoś znośnego modus vivendi w małżeństwie. A pozatem usuwają z życia społecznego widmo owego fatalnego przymiotnika, który z samej instytucji małżeństwa robi rodzaj klęski publicznej, jakiej ulegają ludzie nieczem odrze, czy szkarlatynie.

A właśnie taktu i charakteru mamy w Polsce zamoło. Są to artykuły, których import opłaciłby się grubo, których produkcja w kraju winna być wysoko premjowana. Twierdzą, że bardziej przydałyby się nam konkursy na „najtaktuwniejszą kobietę” i „na mężczynę z charakterem”, niż konkursy piękności, czy sprawności sportowej. Wykluczam możliwość nieszczęśliwego małżeństwa między parą lauretów tych konkursów. By stało się całkiem szczęśliwe, oczywiście muszą złożyć się na to najrozmaitsze dalsze czynniki, których wylizaniem nie mam zamiaru się tu zajmować. Upieram się jednak przy poglądzie, że takt u kobiety, a cha-

rakter u mężczyzny asekurują ich w małżeństwie przed nieszczęśliwym pożyciem.

Uwagi te wyglądałyby zapewne na rady dobrodziejnego wujaszka, lub na wstęp do poradnika dla matek, mających córki na wydaniu, gdybyśmy się nie zastrzegł, że kwestję powszechności nieszczęśliwych małżeństw w Polsce uważam jeno za symptomatyczny wyznacznik naszej rzeczywistości, za rodzaj próbki, przy której badaniu łatwiej da się odszukać ów groźny bakcył, trapiący nasze życie narodowe i państwowe w ogólności, jak i poszczególne funkcje tego życia.

Pozostawiwszy na boku sprawę taktu, zajmę się ważniejszym polskim mankamentem narodowym — brakiem charakteru. Z wielu definicji, jakie mi się nasunęły najtrafniejszą definicją charakteru wydaje mi się „konsekwentna i czynna postawa wobec życia”.

Postawa konsekwentna, to jest taka, która liczy się z rzeczywistością istniejącą niezależnie od nas i z rzeczywistością drugą, przez nas samych stworzoną, to jest poczucie odpowiedzialności, odpowiedzialności pełnej i całkowitej za własne czyny, słowa i

przekonania. Jeżeli spotykam człowieka narzekającego na swoje małżeństwo, na swój fach, na swój naród, na swoje państwo, ba na klimat, na warunki materialne, czy mieszkaniowe, — wiem, że mam do czynienia z człowiekiem bez charakteru. Charakter bowiem polega na umiejętności pogodzenia się z tem, czego zmienić nie jesteśmy w stanie, lub co dobrowolnie wzięliśmy na własne barki, a jednocześnie na drugiej funkcji charakteru, na walce, codziennej, nieustępliwiej walce o przekształcenie tej rzeczywistości, która da się przekształcić naszymi siłami na naszym odcinku, w kierunku naszych postulatów. I to nazwałem czynną postawą wobec życia.

Nie znaczy to, by człowiek z charakterem miał być cielec content z całego świata i z siebie, nie znaczy tembardziej, by nie popełniał fatalnych błędów. Owszem, lecz za popełnione przez siebie błędy po męsku ponosi odpowiedzialność, owszem, lecz w stworzonych przez siebie warunkach stara się egzystować najlepiej i najpożyteczniejszym zarówno dla samego siebie, jak i dla ściślejszego, czy też dla szerszego środowiska. Charakter daje

mu siłę znoszenia przeciwności i przeżność duchową, która wyklucza bierność wobec jakiegokolwiek przejawu życia.

Spotkawszy takiego człowieka, możemy zależnie od wielu innych czynników odczuć sympatię, czy antypatię, ale niewątpliwie z całą wyrazistością odczujemy też, że wiemy, z kim mamy do czynienia. Człowiek z charakterem przedstawia bowiem pewną stałą i niezmienną wartość w każdym warunkach i w każdym wypadku. W porównaniu z człowiekiem pozbawionym charakteru jest jakby złotym pieniądzem w porównaniu z pieniądzem papierowym, którego wartość jest li-tylko umowna i uwarunkowana tysiącami okolicznościami.

Każdemu z czytelników zaproponowałbym sprawdzenie tego porównania na znajomych, gdyby nie to, że — zaryzykuję przypuszczenie — gdyby nie to, że wielu naraziłoby na długie wędrówki z latarką Diogenesa. Nie na każdym rogu ulicy można spotkać u nas człowieka z charakterem. Może dlatego, że większość ich siedzi w domu, gdyż nie ma na tacy twardą monetą. Przeciwnieństwem bowiem charakteru

(Dalszy ciąg na str. 6-a).